

Agnieszka Tarnowska: Nierzeczywiste. O „Nowych lewiatanach” Johna Graya

Z książki wieje przerażenie i ciemność, które odciskają się w percepcji przede wszystkim za sprawą wprowadzających do każdego kolejnego rozdziału cytatów z „Lewiatana” Thomasa Hobbesa, jawiących się niczym przywoływane zza grobu hasła wielkiego nieobecnego, choć wpływającego na bieg rzeczy Autorytetu/Boga/Demona/Fatum podsycone dodatkowo przez fakt, że liberalizm, który odchodzi w przeszłość, a także, że jego polityczni reprezentanci i zwolennicy są porównywani przez Graya do przywódców gnijących państw totalitarnych.

*Kiedy wola staje się wszechmocną i nadrzędną wartością,
schizofrenia puka do drzwi.*

Alexander Lowen, *Zdrada ciała. Psychologia lęku i rozpacz*

Nierzeczywistość. Takie doświadczenie towarzyszyło mi od pierwszych chwil, gdy sięgnęłam po książkę Johna Graya „Nowe lewiatany”, potem także, gdy o niej rozmyślałam i zastanawiałam się jakie odczucie zostawiła w moim ciele. Do tych odczuć należała groza, trwoga i przerażenie. Zdarzyło się nawet, że czytając ją jednego popołudnia, pomyślałam, że „Hej, ktoś mi chyba zabrał Johna Graya”. Domyślałam się

reakcji – nieco to infantylne, ale po lekturze „Siedmiu typów ateizmu”, „Czarnej mszy” i „Kociej filozofii” odnosiłam wrażenie, że znam już tego autora i jego pisarstwo uruchamiać będzie we mnie raczej pozytywne odczucia – poszerzenie horyzontu, w którym czytam rzeczywistość i głębsze zrozumienie świata. Przede wszystkim niósł on ze sobą, jak dotąd, tę pochłaniającą i otwierającą ciekawość, zwiastującą coś dobrego, choć jego pisarstwo i wykłady nigdy nie były lekkiego kalibru, na co wskazują już same tytuły książek. Może poza koteczkami. W przypadku recenzowanej tu książki było zdecydowanie inaczej, wieje z niej przerażenie i ciemność, które odciskają się w percepcji przede wszystkim za sprawą wprowadzających do każdego kolejnego rozdziału cytatów z „Lewiatana” Thomasa Hobbesa, jawiących się niczym przywoływane zza grobu hasła wielkiego nieobecnego, choć wpływającego na bieg rzeczy Autorytetu/Boga/Demona/Fatum (możliwe, że moje reakcje są nieco uwarunkowane przez niedawną obecność na amerykańskim gotyckim horrorze „Nosferatu”, który ciągle noszę w pamięci i nerwach) podsycone dodatkowo przez fakt, że liberalizm, który odchodzi w przeszłość, a także, że jego polityczni reprezentanci i zwolennicy są porównywani przez Graya do przywódców gnijących państw totalitarnych, takich jak Związek Radziecki, maoistyczne Chiny czy hitlerowskie Niemcy. Zgrzyt? Niestety, *don't think so*.

Coś tu jest głęboko nie tak

Nieprzypadkowo jednak nad tekstem zawiesiłam cytat z książki Alexandra Lowena o schizofrenii. Równoległe do książki Graya czytałam bowiem tego psychiatrę i popularyzatora wiedzy, nieco wcześniej też książkę „Czarna owca medycyny” i „Rozpad umysłu. Biografia schizofrenii” Jeffrey A. Liebermana, amerykańsko-

izraelskiego psychiatry. Patrzenie przez tę soczewkę może brzmieć i wyglądać nieco kontrowersyjnie, zdaję sobie z tego sprawę. Oto bowiem naukę, a szczególnie hołubioną dziś dziedzinę medycyny, jaką jest psychiatria uznaję za okno na całość świata i z pewnością będzie to wiarygodne, szczególnie, że wiemy jak rwącym potokiem płyną fundusze mające na celu dowartościować i podciągnąć tę gałąź wiedzy, po latach jej marginalizowania za sprawą ciężącego na niej odium dziwactwa i naszego lęku przed konfrontacją z samymi sobą, z jungowskim cieniem. Piszę o tej soczewce, o tej próbie opisu rzeczywistości politycznej i społecznej, jaką jest soczewka schizofrenii, gdyż wydaje mi się to być ważna, jeśli nie najważniejsza w kontekście ciężaru opisywanych przez Graya zagadnień, droga dojścia do objaśnienia trudności naszych czasów. Po śmierci Boga, po Nietzschem, w pelagiańskim z ducha świecie projektu i samodoskonalenia, świecie triumfu woli. Od razu zaznaczę, że nie jestem jakąś wielką miłośniczką nieufności do świata, wielką miłośniczką prymatu woli, wielką miłośniczką filozofii podejrzeń. Prawdę pisząc, wola, silna wola bardzo mnie boli. Jednocześnie mam świadomość świata, w którym żyjemy, świata czytanego i przeżywanego (także) w kluczu walki płci, gdzie czysta wola to atrybut męski, zaś czysty duch, to atrybut kobiety, która choć pełna uczuć, to w gruncie rzeczy nic nie czuje i można ją poddawać różnym eksperymentom (*vide* „Wybrakowane” Elinor Cleghorn i „Nosferatu” Roberta Eggersa) i zabiegom, bo jednak jest tylko ciałem. Granie na tych nutach jest z tego względu bardzo ryzykowne, w społeczeństwie ekspertów prawo do zabierania głosu na temat psychiatrii mają na dodatek tylko jej przedstawiciele certyfikowani, zaś sympatycy czy czytelnicy jakichś tam książek z Empiku, powinni raczej zostawić swoje refleksje dla siebie, ewentualnie dzielić się nimi na kawie z koleżanką lub po obiedzie z bliskimi. Rzecz jasna, szeptem. Rzecz jasna, jeśli zechcą rozmawiać. Merytokracjo, właśnie Ci macham.

Biorąc pod uwagę to, co powyżej napisałam, myślę też, że zawsze więcej o piszącym, niż o tym, który czyta (a już w ogóle, o tym, o którym się pisze) mówią słowa zapisywane w tekście, recenzji czy czymkolwiek. Ryzykuję więc przyklejenie łąty, bo wiadomo zaczynać cytatem o schizofrenii, to jak dać się zakwalifikować na jedynkę do szpitala, ale spróbuję obronić swoją tezę, zostając przy tym na relatywnej wolności. Czy rzeczywiście jest tak, że oderwaliśmy się od swoich ciał, że chcąc pozostać idealnymi trybikami w systemie, musieliśmy zarzucić kontakt z tym, co w nas najbardziej osobiste, prywatne, intymne? Myślę o tym, zastanawiając się skąd fala alkoholizmu, rozmaitych uzależnień, choćby od fentanylu, o którym pisze Gray, w podrozdziale „Feudalizm i fentanyl” które mają za zadanie kompulsywnie zapełnić braki, a także odpowiedzieć na potrzebę bycia na powierzchni. Podtrzymać na czysto biologicznym poziomie, by zaraz opaść w ciemność i zepsucie. Gdy wola każe szybować w górę, na ziemi zostaje, a w zasadzie strącone i odtrącone ciało, które staje się wrogim, trochę niepotrzebnym. To jest, jak mi się wydaje, lekko manichejskie, ale jakże aktualne. Piszę to także jako osoba, która doświadczyła zaburzeń odżywiania, wiem zatem czy jest wola, która potrafi się przeciwstawić potrzebie sięgnięcia po coś więcej niż jogurt i jabłko jako dieta na dwa dni. Choć i bez tego jabłka i jogurtu, by się obyło. Był to istny triumf woli, choć o filmie Leni Riefenstahl jeszcze wtedy nie słyszałam. Wiem, że człowiek jest do tego zdolny i nie umrze. Przynajmniej przez pewien czas... Jeśli czytają to zatem osoby spragnione ascezy lub po prostu biedne albo chcące spróbować swoich sił w czymś nowym, to jest to otwarta i całkiem ciekawa – do pewnego momentu – perspektywa. Jednak spustoszenie jakie wywoła to w ludzkim ciele przekracza wyobrażenie. Nie piszę tego jednak po to, by pochwalić się tu swoją silną wolą, ale po to by przestrzec, że może się ona i potrafi obrócić przeciwko całemu

człowiekowi. Stąd moim zdaniem, zasadne wydaje się wysnuć analogii między wolą a zagrożeniem dysocjacji, właśnie tym zagrożeniem, o którym pisał w swej książce Gray i Lowen, jakie płynie z jej prymarność. Nieprzypadkowo tę moją opinię i doświadczenie tu przytaczam, gdyż zarówno zaburzenia odżywiania jak i schizofrenia (etiologia tej drugiej wciąż nie jest do końca poznana, choć mówi się, że jest to reakcja obronna organizmu na potrzebę przetrwania w niekorzystnym środowisku) są nazwane jednymi z najpoważniejszych problemów z obszaru zdrowia psychicznego, których nie można lekceważyć. Zdaję sobie jednocześnie sprawę z trudności jaką przysparza ekstrapolacja własnego doświadczenia na całość zjawisk publicznych i to jeszcze tak abstrakcyjnych jak totalitaryzm, gdyż z łatwością można tu popaść w pewien fundamentalny błąd poznawczy i narzucić go innym. Jest jednocześnie faktem, że wśród osób sprawujących władzę i najwyższe stanowiska w obszarze zarządzania premiowane są zachowania, które psychiatria nazywa psychopatologią (chodzi tu przede wszystkim o skłonność do agresji i autoagresji, narcyzm, skupienie na sobie, egoizm, silną wolę, przykładanie wagi do nawyków, dobrego zdrowia i konsekwencję w działaniu). Takimi ludźmi byli właśnie przywódcy państw totalitarnych. Nie żebym stawiała się z nimi w jednym szeregu, ale rozumiem mechanizm psychologiczny, który pcha do takich zachowań. Ludzie, no niestety trzeba to napisać, w większości mężczyźni, którzy w zasadniczy sposób dali się uwieść opowieści o własnej sile sprawczej.

To skłania także do napisania kilku słów o Władimirze Putinie. Przywódcy najpoważniejszego obecnie, obok Chin, imperium, które rości sobie totalne aspiracje. Wielu autorów dzieł kultury, w tym także Gray, ale choćby Patryk Vega, który wyreżyserował film o tym nieszczęsnym człowieku, podejmuje się zadania psychologizacji życia tyra politycznego – szukają bowiem jak na pełnoetatowych artystów

i znawców dusz ludzkich przystało, źródeł zwyrodnień psychicznych w dorosłym życiu, sięgających, przeczytawszy dokładnie Freuda, korzeniami aż do dzieciństwa. Myślę, że wszyscy mniej więcej jesteśmy jakoś zorientowani, że dzieciństwo Putina rzeczywiście nie było usłane różami. Począwszy od biedy przez alkoholizm, prześladowania rówieśnicze po plagę szczurów w bloku. Widzimy zatem sylwetkę człowieka głęboko pokiereszowanego, choć ta psychologizacja Putina nie wydaje mi się wyczerpywać sprawy. Gray zwraca uwagę na niebezpieczny mariaż – mariaż polityki i religii, który w prawosławnej Rosji miał się i ma aż za dobrze. Nosimy w pamięci obrazy skorumpowanych duchownych, którzy obficie kropili i błogosławili jego plany na podboje wojenne widząc w nich walkę z Antychrystem, którym jest Zachód i zachodnia cywilizacja z jej konsumpcyjnym stylem życia i moralnym upadkiem (zupełnie jak gdyby przepych architektoniczny Kremla, fascynacje Putina młodymi kobietami, które zastępowały mu żonę Ludmiłę oraz zamięłowanie prawosławnych duchownych do drogich zegarków, nie równoważyły zachodnich moralnych upadków dnia codziennego), podobnie rzecz ma się z pamiętnym ponownym pokropieniem wodą krzyżyka chrzcielnego w kaplicy Grobu Pańskiego w Betlejem przez patriarchę oraz z akcentem kładzionym na energię atomową jako przedłużenie siły rosyjskiej państwowości. W tle widzimy także intelektualny wpływ takich osób jak Wasilij Rozanow czy Konstantin Leontjew.

Wiele o tej woli, wiele pisze John Gray w końcowych rozdziałach swojej książki. Odnosi się do Schopenhauera, Hobbesa, Nietzschego oraz Geulincxa. Wola jest kluczowa – przekłada się na działanie, tak naprawdę tajemnicę ludzkiego działania. Co bowiem oznacza podejmowanie decyzji i bycie sprawczym? Zróznicowanie podejść jest niesamowite. Arnold Geulincx, flamandzki filozof i logik, daje asumpt do refleksji nad wolą Boga, nieprzeniknioną wolą, której w myśl

teologii negatywnej poddane jest ludzkie życie. Choć ta teologia negatywna rodzi, zdaniem Graya, negatywną antropologię. Schopenhauer, to oczywiście reprezentant perspektywy, którą zawarł w swoim „Świecie jako woli i przedstawieniu”, zwracał uwagę na ożywczą moc płynącą z negacji woli, Hobbes paradoksalnie nie był zwolennikiem woli, Nietzsche zdemaskował ją razem z motywem działań i – jak twierdzi Gray – wcale nie okazał się jej zwolennikiem, choć sławetna „wola mocy” przyłgnęła do niego na dobre.

Internet, internet, więcej internetu

Przyczyną uciekania obecnego świata w nierzeczywistość wydaje się być przeniesienie znacznej części naszych aktywności w obszar cyberprzestrzeni. To już truizm. W zasadzie zastanawiam się czy wypada o tym pisać, nie prowokując głębokiego ziewnięcia u czytelnika i niefrasobliwego drapnięcia w czoło, gdy pytać sam siebie będzie „Po co ona o tym pisze?”. Niekiedy nawet wydajemy się machać już ręką na wieść, że młodzi ludzie przecież mają dzisiaj więcej znajomych w sieci, aniżeli w realnym życiu. No tak? No tak. I co zrobisz? Nic nie zrobisz. Determinizm pełną gębą, widocznie tak być musi. Są to wszystko zdania wypowiedane w znacznej mierze jednak nie przez młodych, ale przez ludzi dojrzałych. Dorosłych. Nic tam, że źródło i początki internetu sięgają wspólnej sieci przesyłania danych na czas wojny, a my podobno żyjemy w świecie demokratycznym i pokojowym. Jestem wobec tego bardzo krytyczna, krytyczna może nawet na tej samej nucie, jak wobec zawodu będącego przedłużeniem dominacji tej cyfrowej pustyni, czyli wobec celebrytów internetowych i influencerów. Szkodliwość społeczną tej grupy, określiłabym jako ciężką do wyrażenia w słowach dostępnych w języku, którym się posługujemy. Odnoszę jednak wrażenie, że poprawność polityczna i stojąca za tym sposobem

zarabiania na życie, możliwość urządzania sobie prawdziwego eldorado przez patriarchat poukrywany za eufemistycznym tytułem „klient”, nie pozwala na wypowiedzenie głośno tych uwag. Wypowiedzenie (lub napisanie) ich głośno, głośno na tyle by zostały usłyszane i co najważniejsze – zrozumiane. Uwag o deprawującej i głębokiej szkodliwości społecznej. Szkodliwości społecznej tak głębokiej i deprawującej, że zaczynam na poważnie przyjmować słuszność cenzury proponowanej przez komunistyczną partię Chin. Z tym, że w ich wypadku jakby odwrotnie – działanie na rzecz ogłupiania społeczeństwa, to postawa i zasada, w to mi graj. I nie, nie jestem tu osobą chcącą ograniczyć czyjąkolwiek wolność, chciałabym tylko zwrócić uwagę na takie kwestie jak człowieczeństwo i godność. W dobie, gdy o negatywnych konsekwencjach mediów społecznościowych na szczęście zaczyna się mówić i pisać coraz więcej, ja jednak odnoszę wrażenie, że interes pewnej grupy społecznej nadal wyprzedza prawdę, a także, że interes oraz szereg afektów jak zawiść i popychanie do złego, nadal poprzedza szacunek do człowieka jako takiego.

Jaki ma to związek z nierzeczywistością? A bardzo głęboki. Choć wierzono, że media społecznościowe i cyberprzestrzeń to droga do budowy solidnych więzi, to nikt nie ma już prawa brać tego argumentu na serio. Po udowodnieniu (choćby przez Frances Haugen), że media społecznościowe żerują na najniższych ludzkich instynktach, podsycają gniew, złość i trybalizują nas w neo-plemiona, nikt nie ma już prawa powiedzieć, że internet przyczynia się do dobrego i wspólnego. To raczej przestrzeń generująca – jak pisze Gray – sztuczne stany natury, przestrzeń pełnoetatowej wojny wszystkich ze wszystkimi. Wspomniana powyżej Haugen, sygnalistka Facebooka, przyznała, że jest to portal, którego algorytmy intencjonalnie pozycjonowały treści tak, by młode dziewczęta zachorowały na zaburzenia odżywiania – anoreksję, bulimię, ortoreksję, w konsekwencji także depresję. Głosem

Andrzeja Dudy pragnę tutaj wyznać, „Szok, rozpacz, niedowierzenie”. Nikt się nie spodziewał, prawda? Nikt się nie spodziewał, że rysowanie gumką w Pajncie przerwy między nogami kobiet (czyli czysta manipulacja) będzie je popychało, by mocą własnego wysiłku takiego cudu się dorobiły. Stwierdzicie, no cóż, są głupie i tylko tę głupotę wydobyliśmy na wierzch. Gumka w Pajncie a mordercza ilość przysiadów i ekstremalnie obcisłych spodni. Przyznacie Państwo, jest różnica w nakładzie sił i drodze dojścia do takiego stanu finalnego? Analogicznie, nie zastanawia was dlaczego tak agitujemy za rezygnacją z plastikowych siateczek w Biedronce i większości dyskontów, a sztuczna i szkodliwa toksyna botulinowa wlewana w kobiece usta, piersi i pośladki nikomu jakoś nie przeszkadza? Nikt nie zawodzi, że to szkodzi środowisku, naturze, człowiekowi. Dziwne. A może wcale nie? Logiczne i konsekwentne. Tylko, czyja to jest perspektywa, logika i sposób na działanie?

Wydaje się jednak, że to ciągłe wystawienie na oczy drugiego człowieka, na jego oceny i sądy, to pokłosie przyjęcia za docelową formę urządzenia przestrzeni społecznej i wirtualnej na wzór Panoptykonu – więzienia doskonałego z pism Jeremy’ego Benthama. Przestrzeni tak pomyślanej, gdzie każdy ruch jest obserwowany, a światła sprawiają, że dosłownie się od nich ślepnie. Zupełnie jak w wielkich miastach, zupełnie jak w książkach Jakuba Żulczyka. Internet jest więc doskonale zniewalającą przestrzenią, wirtualną instytucją totalną, a chiński rząd, który swój pomysł na wędrowny Panoptykon dla obywateli przeprowadza pod pozorem punktów, otwierających lub zamykających drogę do aktywnego życia, doskonale wiedział, co robi i z kogo bierze przykład. Dość wspomnieć, że na chińskich uniwersytetach czytani są tacy myśliciele jak Leo Strauss, Thomas Hobbes, Carl Schmitt. Ten ostatni, wraz z koncepcją decyzyjonizmu miał pomóc w teoretycznym uzasadnieniu słuszności zbrodniczych poczynań Xi

względem Ujgurów w Chinach. Komunistyczna partia Chin pragnie zatem wprząc w życie projekt inteligentnego despotyzmu. Połączenie sztucznej inteligencji z organizacją życia zbiorowego na wzór ściśle nadzorowanych obozów pracy. Podobnie rzecz ma się z *woke culture*, ruchem popieranym w znakomitej większości i reprezentowanym przez wysoko wykwalifikowane mieszczaństwo i nadwyżkowe elity, które chcąc chronić swój interes, przyjęły na siebie rolę strażników moralnych społeczeństwa. W swej „religii” nie tolerują jakichkolwiek odstępstw, a jednocześnie pozwalają przekierować uwagę na kwestie tożsamościowe, zostawiając na boku konflikty interesów gospodarczych, hierarchię klasową, wydając sporą część społeczeństwa na pastwę bezczynności i nędzy. Nie wypada zakończyć inaczej: Witajcie w nowym wspaniałym świecie.

Agnieszka Tarnowska

John Gray, „Nowe lewiatany. Refleksje po liberalizmie”

Tłum. Szymon Żuchowski

Biblioteka Kultury Liberalnej tom 26

Warszawa 2024